

Te chwile

Herbjørg Wassmo

Te chwile

Przekład

Ewa M. Bilińska

smak  słowa

Sopot 2015



Dla Wenche Marit – mojej siostry



Młody wędkarz i piętno na skórze

Osuwa się do tyłu, w nieznane.

Wieczorna mgła unosi się nad bagnami i wodą. Jak oddech obcego. Wszystko staje się nierzeczywiste. Kiedy wiosłuje, mgła wciśka się w dulki. Tarcie wiosła zdaje się odległym westchnieniem.

Wędkarz siedzi z twarzą zwróconą ku niej i obserwuje kierunek. Podnosi dłoń, wskazując, dokąd płyną. Delikatnymi ruchami wiosła w milczeniu koryguje kurs. W wiosłowaniu jest d o b r a.

Szykuje haczyki. Dwoma żyłastymi palcami wyciąga z blaszanej puszkii wypełnionej czarną ziemią wijącego się robaka. Puszka ma podziurawione wieczko, żeby robakom nie zabrakło powietrza do chwili, gdy będą mu potrzebne. Biedne z nich stworzonka. Wyjmuje je po kolei. Na żyłce wisi kilka haczyków. Robaki z całych sił wiją się wokół metalu.

Potem wyrzuca żyłkę. Ciężarek ściąga ją w dół. Na samo dno. Podciąga ją o parę sążni w górę i od czasu do czasu lekko szarpie. Jakby dla zabicia czasu. Myśli o czymś innym. Opowiada o tym, co widzi. O górach. Wodzie wokół nich. O wszystkim, co stanowi dziedzictwo po ojcu i co przypadnie mu w udziale. Ma plany związane z gospodarstwem. Jak tylko będzie starszy i zdolny je przejąć. Owce, turystyka i połowy pstrąga. Pompa z benzyną przy drodze krajowej, to dopiero będzie kopalnia złota.

– Wszyscy potrzebują benzyny! – mówi, uśmiechając się.

Kiedy przybijają do brzegu, na dnie łodzi leżą trzy ryby przykryte workiem.

– Nie zabieramy ich? – pyta ona.

– Później – odpowiada.

Z czasem okaże się, że to swego rodzaju cecha. On robi tylko to, co chce w danej chwili. Wszystko inne będzie później. Właśnie skończył szkołę realną i ma wakacje. Uśmiecha się smutnym uśmiechem z zamkniętymi ustami i mówi cicho i z przejęciem.

Powinna iść do domku, który rodzice wynajmują od jego ojca. Ale nie robi tego. Trawa na drodze do domu jest pokryta rosą. Idzie boso, czując westchnienia wody pomiędzy palcami u stóp. Drzwi wejściowe zawodzą. Schody skrzypią. I już są w pokoju na pięterku. Przez otwarte okno wpływa noc, nagle przepełniona słońcem. Siedzi na łóżku, wdychając chłodny zapach świeżego, sosnowego drewna. I tę osobliwość, jaką jest skóra drugiego człowieka. Na nocnym stoliku leży zakurzona harmonijka. Są we dwoje. Blisko. Bierze w dłoń jej warkocz i przygląda się. Jakby go ważył. Po chwili puszcza i się uśmiecha.

Początkowo w domu panuje zupełna cisza. Słucha tej ciszy. A potem, jakby oboje na to czekali, z dołu dochodzi wołanie sparaliżowanej kobiety. Oboje wiedzą, że tam jest. Woła swojego syna.

On nie ma oczu. Ona wie, że są niebieskie, ale zapadły się gdzieś w głąb jego głowy. Powieki drgają mu w nocnej poświacie. Ma różowe wargi. Włosy bujne z głębokimi zakolami. Jasne, niemal zielone. Wstaje i nastawia adapter. Muzyka do tanga. Męski głos śpiewa po niemiecku. Potem wychodzi do korytarzyka i idzie w dół po schodach.

Kiedy wraca, mówi, że jego matka wie, iż ona tu jest, i że to nic nie szkodzi. Nastawia głośniejszą muzykę. Tańczą przytuleni do siebie w małym pokoiku. Jego sparaliżowana matka tańczy wraz z nimi pod belkami w podłodze. Ale więcej już nie woła. Wiruje tylko wraz z nimi, bo nie mogą zrobić nic innego, niż jej na to pozwolić.

.

Kobieta siedzi na stołku przy kuchennym blacie i ma trudności z mówieniem. Jej twarz jest lekko wykrzywiona. W końcu się

odzywa. Pozostaje tylko stać przy drzwiach i czekać, aż wypowie swoją prośbę. Kupić kanek mleka.

– Siadaj, dziewczyno – mówi starsza pani.

W jej głosie nie słychać miejscowego dialektu, pobrzmiewa za to akcent z dalekiego południa. Robi, jak jej nakazano. Samotność wypełnia izbę niczym echo. Między nimi zawisa ciekawość. Małe, ostre pazury i ciepło. Jak kociak pełzający po kolanach. Nie znając jej, lubi jego matkę. Jej twarz nosi ślady łez. Ale ona nie płacze. Każe nalać sobie kawy z imbryka stojącego na piecu.

– Weź sobie placka – mówi. Leżą na stole, na półmisku.

Muchy już tam są. Jej matka użyłaby przykrywk. Albo nakryłaby placki czystą ściereczką.

Wychodząc, myśli sobie, że nigdy kogoś takiego nie spotkała. I że to wyjątkowe. O muchach już prawie zapomniała.

.

Siedzi przy oknie w małym domku i spodziewa się, że on będzie tędy przechodził. Wkrótce. Wie, że kiedy idzie łowić w wodospadzie, chodzi starą drogą. Ale nie pojawia się. Ma inne zajęcia. Nie wie, czy on jest dla niej ważny. Ale w pewien sposób odcisnął na jej skórze piętno. Całkowicie nową chwilę. Nie zdawała sobie sprawy, że do skóry potrafi czuć coś innego niż odrzę

*

Zaczęła naukę w szkole realnej. Łany wierzbówki na zboczach straciły już wszystkie kwiaty. Lekcje odbywają się w poniemieckim baraku, a ona prawie wszystkich zna. Siedzą blisko siebie i razem spędzają wolny czas. A przynajmniej ci, którzy nie muszą wracać autobusem do domu.

On chyba teraz rzadko pokazuje się we wsi. Widzi go parę razy, ale tylko z daleka. Trudno przecież zawołać kogoś, kogo spotkało się tylko dwukrotnie. Jest starszy od niej i szybko znika w oddali. Inni rozmawiają o nim, a ona nie bierze w tym udziału. W sumie jest jej niepotrzebny. Bo niby czemu miałoby to służyć?

Słyszy pogłoski, że stan jego matki się pogorszył. Czasami widzi przed sobą jej twarz i słyszy, jak mówi, żeby wzięła sobie placka.

Szybko nadchodzi październik. Na zabawie w lokalu widzi go, jak tańczy i się śmieje. W kieszeni ma butelkę. Marynarka zwisa mu ciężko z jednej strony. Jest inny niż latem. To pewnie przez garnitur i krawat. Cały czas otacza go wianuszek dziewcząt. Najwyraźniej ma duże powodzenie i jej *n i e d o s t r z e g a*. Czuje, jak nieśmiałość otacza ją niby śnieżna zaspą. Tańczy z chłopcami z klasy. Muzyka jest gdzieś w oddali.

Idąc do domu, czuje, jak w jej piersi rozrasta się ogromna bańka. Stara się oddychać lekko, żeby nie pękła. Podchodzi jej do gardła i ma niedobry smak.

Jesień dopada ją mimo wełnianego swetra.

Rock

Oparta o ścianę, pozwala się dotykać. Pod cudzymi dłońmi dostaje gęszej skórki. Skóra broni się, tworząc drobną, łuskowatą zaporę. W jej głowie gra radio, które mówi: Słuchaj. Czuj! To się dzieje teraz. Musisz poczuć, jak to jest. Nie zajmuj się tym, że na dachu siedzi mewa. Tuli się do kalenicy i krzyczy.

Odchyła głowę do tyłu i zamyka oczy, żeby zostać sama. To nie chłopiec ją przeraża, tylko uczucie, że nie może uciec. Słyszy, jak do niej mówi, ale nie pojmuje treści. On dostrzega, że ona po prostu tam stoi. Jego dłonie opadają.

– W porządku – mówi, puszczając ją.

Mewa krzyczy. Ona jest taka sama jak wcześniej. Stoi po prostu, spokojnie czekając, aż znów stanie się wyraźna sama dla siebie. Inaczej nie będzie widoczna dla innych.

Inni to ci, którzy się śmieją. Szepczą. Stoją razem zbici w grupki. Wiedzą wszystko to, czego ona nie wie. Na przykład, dlaczego chłopiec poznany latem nie kontaktuje się z nią. Ci, którzy być może widzieli jej drżenie, kiedy musi powiedzieć cokolwiek, stojąc przy ławce. Niemieckie przypadki. Przyimki. I przy tablicy, stojąc przed długimi rzędami nierozwiązanych równań. Ci, którzy wiedzą, że jej skóra kurczy się, poci. Żeby po chwili wyschnąć. Zacząć wydzielać zapach.

Niektórzy zbierają dowody. Egzaminują. Wypisują świadectwa. Zaświadczenia o moralności. Rozpatrują podania o przyjęcie do szkoły. Inni siedzą za kuchennymi firankami i wiedzą wszystko,

czego ona nie zdążyła jeszcze przemyśleć na własny temat. Są zadowoleni lub rozgniewani, ale nigdy nie czują pustki. Mają prawo oceniać. Nawet to, o czym nic nie wiedzą, tylko sądzą, że wyczuwają.

.

Ojciec jeszcze nie śpi i siedzi w kuchni ze swoim głupim uśmiechem. Nie wchodzi tam, zamyka drzwi bez słowa, nie biorąc kromki chleba, której potrzebuje. Pije wodę prosto z kranu nad umywalką w łazience. Drzwi mają solidny, żelazny klucz, który kiedyś obracała ręka poety. Pachnie mokrymi ręcznikami i starą wilgocią. Malowana na czerwono wanna na lwich łapach i zaśniedziały miedziany bojler wydają się obce. W skrzynce pod piecem leży zimny popiół.

Kiedyś w tej wannie siedział poeta, myśli sobie. Poeta też miał ciało. To osobliwa myśl. Teraz wszystko należy do gminy. Ale poeta nie żyje. I jest tylko wstydem i symbolem zdrady Ojczyzny. Ojciec płaci czynsz, żeby mogli tam mieszkać. Ojciec jest w każdym pokoju. Również nocą.

.

Zima jest niczym wilgotna, zimna wełna. I śmiech w prywatnej, dwuletniej szkole realnej. Nie zawsze wie, z czego się śmieje. To nie szkodzi. Najważniejsze to się śmiać.

Tańczy rocka ze starszym od siebie chłopakiem, który uczy się na elektryka. Można pośmiać się z tego, co mówi. Śpiewa i cytuje teksty z kogoś, kogo ona nie czytała.

Tańczą w klubach młodzieżowych w okolicznych wsiach. Akordeon i gitara usiłują załkać tak, jak słyszy się w radiu. Rodziców tam nie ma. Myśli sobie, że być może nigdy wcześniej się nie śmiała. Ale to przecież niemożliwe. Stara się przypomnieć sobie, z czego mogła się śmiać, zanim zaczęła tańczyć rocka. Nic szczególnego nie przychodzi jej do głowy, ale coś chyba musiało być zabawne. Tęskni za swoimi kuzynami, którzy są tam, skąd oni się wyprowadzili. Niewiele potrafi sobie przypomnieć, ale to tam chyba trwał śmiech.

Czy często się zdarza, żeby nie pamiętać swojego życia, kiedy ma się piętnaście lat? – myśli pragnąc jednocześnie, aby matka, siostra i ona mieszkaly same. Ale teraz mieszkają w wiosce rodzinnej ojca. Jego matka, ciotka i brat zajmują dom w kolorze ochry. Niedaleko od wielkiego, białego domu, w którym kiedyś mieszkał poeta. Teraz jej rodzice wynajmują tu kilka pokoi na piętérku.

.

Praktykant na elektryka zabiera ją do swojego pokoju, wynajmowanego u starszej pani. To zabronione. Przemykają się po schodach z butami w dłoniach. On smaży jajka i bekon na starej kuchence, w której zamontował nowy włącznik. Później dokładnie wietrzy, żeby zapach jedzenia nie zalegał, bo wówczas staruszka byłaby zrozpaczona. Na pewno ma ponad pięćdziesiąt lat.

Siedzą w łóżku ze skrzyżowanymi nogami i jedzą, drząc przy otwartym oknie, na którym mróz namalował róże pomiędzy szprosami. Kiedy tak siedzą, róże zaczynają płakać od wewnątrz. Ciekną drobne krople. Bekon na talerzu sztywnieje z zimna. On mówi, żeby jadła szybciej, bo jedzenie jej ostygnie. Uśmiecha się szeroko. Jego oczy błyszczą w ciemności.

Pali się tylko nocna lampka. Na podłodze i stole leżą kable, wtyczki i narzędzia. Wszystko trzeszczy. Schody, drzwi, krzesło, łóżko. Ściany mają oczy i uszy. A jednak na dłuższą metę tylko do pewnego stopnia udaje im się być cicho. On nie jest szczególnie skrępowany. Z bliska pachnie świeżością mydła i wody po goleniu.

.

Nie powinna tańczyć tak gwałtownie i długo, żeby ryzykować upadek. A mimo to tańczy. Ma na sobie baletki i spódnice z czarnej tafty z gumowym paskiem w talii. Sama ją uszyła. Z pełnego klosza, tylko z otworem pośrodku. Zabawnie to wygląda, gdy rozkłada ją płasko na podłodze. Halka jest sztywna i powiewa przy każdym poruszeniu. Spódnica ją chroni. Świat nie jest w stanie jej dopaść. Czuje, że żyje, czuje się odważna.

Być może już wyrosła z tych omdleń?

Błyskawicznymi ruchami chwyta wyciągniętą dłoń elektryka.

Potem ją puszcza i sama unosi się we wszechświecie.

Pieszo do Szwecji

Już się nie boi ojca. Mówi mu, że wszystko spisała i że jeśli coś jej się stanie, to istnieje k t o ś, kto to znajdzie.

Ucieka spojrzeniem, potem wpatruje się w nią i rusza do drzwi. Ojciec zawsze tak robi, kiedy jest zły lub obrażony. Od dawna już uważa, że nie jest człowiekiem. Tylko czymś, od czego nie sposób uciec. Po pewnym czasie rozumie, że ma nad nim coś w rodzaju przewagi. Stara się nie myśleć o tym, że mógłby odkryć, iż jedynym k i m ś, kto wie, gdzie jest ukryty dowód, jest ona sama.

Obnosi się ze swoją złudną władzą. Jeśli w chwili jego powrotu do domu siostra, matka i ona siedzą razem przy stole kuchennym i rozmawiają, ona milknie. I nie patrzy na niego. Postać w drzwiach spowija lepka warstwa. Nieprzenikalna maź, na którą lepiej nie patrzeć. Tak jak na stary garnek z osadem zjełczałego tranu na dnie w fabryce tranu na Wyspie.

Swoimi myślami o postaci stojącej w drzwiach udaje jej się zmienić nastrój w pomieszczeniu. Matka i siostra również przestają rozmawiać i zapada milczenie. Tak jakby one również wiedziały. Ale tego nie wolno wypowiedzieć na głos.

*

Ojciec zdecydował, że wybiorą się p i e s z o do jego siostry w Szwecji. Ona nie zna nikogo, kto zrobiłby coś takiego. Wyobraża sobie, jak będą błdzić po górach niczym małe stadko owiec. Tylko że owce nie muszą nosić plecaka, mogą skubnąć trawy tam,

gdzie mają ochotę, a kiedy zapada wieczór, kładą się pod skalnymi ścianami i przezuwają.

Iść na wycieczkę z ojcem to tak, jakby wybrać się z radiem nastawionym na niewłaściwą stację. Stacja przez cały czas wysyła rozkazy, skarży się i opowiada bezsensowne historie. I wybucha wściekłością.

Najpierw mają pojechać autobusem do miejsca jak najbliżej granicy. Potem z plecakami, śpiworami i namiotem mają przejść przez góry. Ojciec pakuje kompas i mapę, matka i ona przygotowują całą resztę. Pomaga matce w spisywaniu listy.

Po drodze będą musieli przynajmniej dwie noce spać pod namiotem, mówi ojciec, i trzeba zabrać jedzenie na co najmniej cztery dni na wypadek, gdyby dopadła ich i zatrzymała gdzieś niepogoda lub mgła. Ojciec czuje się królem, kiedy tak wyjaśnia i dyryguje. Babka, wuj i ciotka potrząsają głowami. Siedzą w swoim domu w kolorze ochry i potrząsają głowami. Nigdy jednak nie krytykują ojca w jej obecności.

Nie wie, czy to dlatego, że boi się tej wycieczki, ale wymiotuje prawie każdego ranka i mdleje jeszcze częściej niż zazwyczaj.

– Nie chcę iść z wami! – mówi pewnego ranka do matki.

– Głupstwo! – odpowiada matka i w ten sposób *t a s p r a w a* jest rozstrzygnięta.

Skoro młodsza siostra jest dobrze nastawiona do wycieczki, to i ona powinna okazywać entuzjazm. Prawda jest taka, że od zawsze lubiła podziwiać góry raczej z odległości. Lub traktowała je jako zło konieczne, które trzeba pokonać, chcąc trafić tam, gdzie musi się dojść. Podobnie jak jazdę na nartach. Przez całe dzieciństwo na Wyspie musiała zimą poruszać się na nartach, żeby gdziekolwiek dotrzeć. Do szkoły, do ubikacji na dworze, na plebanię, do biblioteki i do sklepu. Ale przypięta do tych desek czuje się zniewolona. Stopy stają się niewolnikami i nie mogą tańczyć tak, jak chce.

Najlepiej czuje się na przybrzeżnych kamieniach, rozciągających się wzdłuż plaż. Biegnać przed siebie, tańcząc, unosząc się

w powietrzu. Robi to zupełnie z własnej woli i ma nad wszystkim kontrolę. Już tak z nią jest, że gdy tylko czuje utratę kontroli, upada.

W miejscu, z którego mają ruszyć prosto w góry, pada deszcz. Wszędzie błyszczą liście małych, karłowatych brzoź. Wrzosowiska napuchły od wilgoci. Wysoko w górze, nad szczytami, świat przechodzi w warstwy błękitu i szarości. Nieprzenikalne i odległe. Mają iść w kaloszach, a do plecaków zabrać tenisówki, bo nie stać ich na zakup butów do wędrówek górskich.

Kiedy mężczyzna, mający wskazać im drogę prowadzącą do szlaku turystycznego, zauważa, co mają na nogach, mówi, że będą w kłopotcie. Albo spływające potem nogi w kaloszach, albo mokre od wilgotnych wrzosów w tenisówkach. Uważa, że ogólnie są źle wyposażeni. Cienkie śpiwory i namiot bez podłogi. Ale teraz jest już za późno. W tej chwili trzeba po prostu iść, stwierdza ojciec.

Miejscowy zawraca, a matce dostaje się za to, że mają taki zły sprzęt. Kupiła sobie na raty maszynę do szycia, a nie zarobiła złamanego øre. To on przecież zawsze musi spłacić ratę, mówi. Łaja górskie zbocza, dopóki starcza mu oddechu. Nikt nie odpowiada. Zawiązuje węzły na rogach dużej chusteczki do nosa. Niesie ją potem na głowie jak szejk. Od czasu do czasu zdejmuje ją i wykręca z niej pot i deszcz. Po pewnym czasie zapomina o pomstowaniu, ale zaczyna mówić o wszystkim innym. Sprawach błahych i ważnych. Gdyby dało się wyłączyć jego gadanie, to można byłoby w spokoju wdychać zapach karłowatych brzoź i wilgotnych wrzosów, można byłoby cieszyć się tym, że warstwa chmur się rozstępuje, a niebo nad szczytami staje się czyste.

Po wspięciu się na pierwsze zbocze usiłuje być miły dla siostry, dając jej czekoladę. Jej również wręcza kawałek, ale ona odmawia. Nie jest w stanie jeść niczego, czego dotykał. Piją ze

strumienia i odpoczywają przez chwilę. Gdyby nie obecność ojca i te straszne mdłości, to byłoby nawet dosyć przyjemnie, myśli. Nie da się wiele z tym zrobić prócz udawania przed sobą, że jego tam nie ma.

Wieczorem przy rozstawianiu namiotu okazuje się, że brakuje połowy śledzi. Kiedy pretensje do matki, że nie sprawdziła tego przed wyjazdem, płyną nieprzerwanym strumieniem, ona nagle czuje, jak głowa jej pęka. Wydobywa się z niej dziki ryk. Dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszała.

Biegnie w jego stronę, trzymając w obu dłoniach maszt od namiotu. Zaczyna walić go nim w plecy, wykrzykując chaotyczne zdania, które równie dobrze mogłyby być po chińsku. Kiedy ojciec się odwraca, nadal wali na oślep, nie zważając na to, gdzie trafia. On stoi, zasłaniając oburącz twarz. Ona wciąż ryczy i bije, bije. Aż do chwili, kiedy słyszy za sobą przerażony płacz siostry.

To matka wyjmuje jej z rąk maszt od namiotu i wydaje krótkie polecenie.

– Cicho!

To matka w końcu stawia namiot, korzystając ze śledzi, które mają. Mocuje go w poszyciu i kamieniach. Metodycznie, bez jednego słowa. Ojciec już dawno poszedł w swoją stronę. Jego plecy zniknęły za wielką skałą.

Ona wstydzi się, ale zarazem jest zadowolona, że zmusiła go do oddalenia się. Razem z siostrą przysiadają na ziemi przy ognisku, rozpalanym przez matkę. Kiedy czekają, aż zagotuje się woda na zupę, matka odwraca się do niej i uważnie się jej przygląda.

– Lepiej uważaj, bo staniesz się taka jak on – mówi cicho.

Ojciec nakleja plaster na ogromne otarcia na nogach matki i trochę karci ją za to, że nie powiedziała nic wcześniej. Nikt nie odpowiada. Nie ma na co odpowiadać. Czy byłby w stanie zapobiec otarciom? Czy by ją niósł? Czy k t o k o l w i e k był kiedykolwiek

świadkiem tego, żeby ojciec próbował matkę nieść, starając się uczynić jej życie lżejszym? Teraz chce wszystko ułatwić, wyrzekając na nią, że nabawiła się odcisków.

Ołówkiem stolarskim zaznacza linie na mapie i używa kompasu. Tylko on potrafi korzystać z kompasu. Prawdopodobnie jedyny na całym świecie. A i tak udaje im się zabłądzić.

Po pewnym czasie odnajdują oznaczony szlak turystyczny i wszystko się uspokaja. A przynajmniej trochę. Młodsza siostra jest bohaterką. Na nic nie narzeka, a jej loki skaczą i podrygują w słońcu i wietrze. Ale kiedy docierają do rzeki, której według mapy nie powinno tam być, siostra odmawia przejścia. Nie ma odwagi, żeby przenieść ją ojciec. Brak jej odwagi, żeby przeniosła ją matka. Chce, żeby one, siostry, wróciły do domu.

– Możemy pójść w górę rzeki po tej stronie i zobaczyć, czy może tam jest węższa – próbuje przekonać małą.

I tak robią. Rodzice poczekają na drugim brzegu. Ojciec przenosi również jej plecak. Dziewczynki mozolnie idą w górę połoniną wzdłuż rzeki. Paprocie są tak wysokie, że nie widzi siostry idącej z przodu.

Mają szczęście, za grzbietem góry krajobraz robi się bardziej płaski. Rzeka wypływa z bajora, rozlewającego się po równinie. Ale tam mogą zdjąć buty i przebrnąć przez wodę, nie bojąc się porwania przez wodospad. Zbiegają w dół po właściwej stronie rzeki i spotykają rodziców. Ona wyciera szelki swojego plecaka kawałkiem mchu. Ojciec miał go na sobie.

Ojciec wygłasza długą przemowę o tym, jak ważne jest, by się nie poddawać, tylko szukać rozwiązań. Należy trzymać się razem i nie tracić odwagi. Brać pod uwagę najsłabsze ogniwo i nie tracić dobrego humoru, tak się to nazywa.

Idzie za skałę i tam wymiotuje. Matka pyta, czy źle się czuje, a ona odpowiada, że jest zdrowa jak ryba. Na dowód tego śmieje się głośno. Góra przedrzeźnia ją głucho.

Okazuje się, że przejście łańcucha gór zwanego Kjølen¹ zajmuje im pięć dni. To wyjątkowo odpowiednia nazwa dla łodzi pełnej rozbitków. Kiedy są w najwyższym punkcie, nadciąga mgła. Jest tam również najzimniej i najbardziej wilgotno.

Ostatniego dnia nie mają już jedzenia, tylko trochę płatków owsianych i kilka kostek rosołowych. Namiot jest mokry, a śpiwory wilgotne, chociaż ojciec kopie wokół miejsc noclegów rowy małą łopatą, którą ukradł ze Straży Granicznej.

Piątego dnia świeci palące słońce, a ojciec prowadzi ich według wskazań mapy i kompasu, machając rękami i nawołując jak dowódca w wojsku. W dół po zboczach i przez pagórki. Przez zarośla i gęste poszycie równin wzdłuż rzek. Jest pewien zwycięstwa i przez cały czas powtarza, że zostały najwyżej trzy mile lub coś koło tego.

Czuje się całkowicie wyczerpana i myśli sobie, że to pewnie przez swoją miesięczną przypadłość, która się opóźnia. Matka za to krwawi obficie. Z podbrzusza, z otarć na nogach i zdartej skóry na obu łokciach. Siostra ma plastry na kolanach. Ojciec zebrał wszystkie ukąszenia komarów. Ma spuchniętą twarz. Kiedy narzeka, ona mamrocze półgłosem, że jest mu z tym do twarzy. Matka słysząc to patrzy na nią ostrzegawczo.

Młodsza siostra nauczyła się, że nie warto marudzić, ale w chwilach największej wilgoci i zimna trochę jednak zaczyna. Matka niesie ją kilka kroków, po czym wyczerpane przysiadają na dłuższy moment. Siostra cicho płacze, wycierając nos w swoje kasztanowe loczki. Matka przytula ją mocno, blisko. Aż do chwili, kiedy mała nie ma już siły dalej płakać i wymyka się z objąć.

¹ *Kjølen* (norw.) – słowo to ma kilka znaczeń, m.in. „kil”, „chłód”, ale też „okropność”. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki).

Mokre ubrania rozwiesili do suszenia na plecakach i idą noga za nogą tak, jakby ta droga miała się nigdy nie skończyć. Nawet on przestał mówić. Za to dyszy. Dyszy i ciężko stawia jedną stopę za drugą.

Ojciec zawsze przeszkadza światu. Ludziom stojącym na jego drodze. Wydarzeniom. Ojciec jest niczym cień, który ona usilnie – ale bez powodzenia – stara się wymazać. Wie przecież, że tego nie da się zrobić. Ma taką władzę nad jej snami, że ona budzi się nagle, w środku nocy stojąc pośrodku pokoju. Przenika wszystkie rzeczy cuchnącym wstrętem. Nawet gdy siedzi w kościele, to z każdego kąta wyziera jego cień.

Gdyby teraz przewrócił się martwy, to musiałybyśmy go tutaj zostawić. Nie byłabym zmuszona więcej go oglądać, myśli. Nadleciałyby kruki i przyszły górskie lisy szczęśliwe, że mają co zjeść. A potem myszy i inne drobne gryzonie. Przez cały czas komary, meszki i gzy. Przez cały czas. W końcu pozostałby tylko zbielały, wypolerowany szkielet leżący w słońcu. Wtedy wszystko zostałoby oczyszczone i usunięte ze świata, myśli. Też chciałabym zostać oczyszczona, ale tu w świecie.

I zanim jest w stanie temu zapobiec, już posłała błagalną modlitwę Najwyższemu. Zabierz go! Teraz! Proszę.

Uświadamiając sobie tę myśl, wie, jaka jest nikczemna. Jak bezgranicznie pełna niegodziwości. Ponadto nie jest w stanie za to żałować. Wkłada kciuki pod szelki plecaka, żeby złagodzić ból spowodowany otarciami, i zmusza się do myślenia o wyjątkowej naturze zła. Że ma ono moc utrzymania jej przy życiu. Bez tego zła w środku już dawno by jej tu nie było.

Kiedy w końcu schodzą z gór do ludzi, widzi mały, czerwony domek z dymem unoszącym się z komina, ale nie wierzy, że to prawda. Jest pewna, że to zaledwie wyobrażenie. Mały domek jak z bajki, otoczony dzikimi różami, schowany wśród wysokich

sosen. Tylko patrzeć, jak wyjdzie czarownica, żeby ich złapać i zjeść na kolację.

Wydaje jej się, że idzie trochę w tyle za resztą, bo chce zostać chwilę sama. Ale kolana się pod nią uginają. I ostatnie, co czuje, to świeży zapach szczawiu. Potem jej usta wypełniają się i wszystko znika.

Budząc się, słyszy opowieść ojca o tym, jak to zabłądzili we mgle, ale on odnalazł właściwy kierunek za pomocą mapy i kompasu. Słowa wynurzają się z mdłości. Ulga spowodowana powrotem do ludzi staje się opustoszała, jak bezkresne morze w dzikich górach.

Potem wyczuwa zapach zupy z owoców dzikiej róży i słyszy dźwięk północnoszwedzkiego dialektu.